

Teatr działa magią... mówi Zofia Kucówna



Miłośnicy Melpomeny pamiętają wspaniałe kreacje Zofii Kucówny w stołecznym Teatrze Narodowym w „Weselu”, „Zbrodni i karze”, „Trzech siostrach”... Jej niezapomniane role na małym ekranie w „Elektrze”, „Dziewczętach z Nowolipiek”, „Emancypantkach” czy choćby uroczych „Opowieściach mojej żony”.

— Każda stworzona przez Panią postać dostarcza wielu wzruszeń widzom. Czy wśród łwego ogromnie bogatego repertuaru ma Pani swoją ulubioną sztukę lub rolę?

— Lubię role współczesne, w których mogę przekazywać zawarte w nich treści we własnym imieniu, z

własnym spojrzeniem na świat. Być może dlatego pewnym przełomem stał się w moich doświadczeniach teatralnych monodram Ireneusza Iredyńskiego pt. „Maria”. Znalazłam w nim problemy mojego pokolenia z lat pięćdziesiątych i możliwość przyjrzenia się im z dystansu lat minionych. Takie Marie istniały, wśród nich żyłam, wychowywałam się, dojrzewałam. Czy akceptowałam? Byliśmy zbyt młodzi, nie umieliśmy czy chciliśmy wartościować. Żyło się bujnie, niespokojnie, nikt nikogo nie oceniał. Dziś te Marie żyją wśród nas, noszą w sobie tamte lata, przeżycia i dramaty. Sądzę, że moje pokolenie potrafi zrozumieć je, rozgrzeszyć, a nawet uszanować.

— Ale nie zna Pani wszystkich swoich widzów i trudno przewidzieć, ile osób z drugiej strony rampy zainteresuje się problemami, które Pani porusza.



— Na pewno. Mam nadzieję, że ta cisza i skupienie, które towarzyszą mojemu mówieniu, dowodzą, że ich interesują. A jak je oceniają, to już inna sprawa.

— Obecność publiczności ma wpływ na grę aktorską?

— Ogromną! Spektakl teatralny jest poniekąd wspólnym dziełem aktora i widza. Jego reakcje, chłonność

i wrażliwość wpływają na przebieg przedstawienia. Bardzo często nas inspirować. Uznanie widowni jest nagrodą za trud i wysiłek.

— Wybrała Pani teatr jako schronienie od codzienności?

— O moim związku z teatrem zdecydował, jak to się często w życiu zdarza, przypadek. Ja nie szukam ucieczki od życia, a wręcz przeciwnie, teatr łączy mnie i zespala z życiem. Traktuję ten zawód jak każdy inny, nie wyolbrzymiam jego rangi, choć jest bezsprzecznie bardzo ciężki i trudny.

Każda nowa rola powoduje zamęcenie ufności do samej siebie, rodzą się pytania i wątpliwości, budzi się napięcie, mnożą się konflikty, niepowodzenia... Są one wliczone w nasz zawód. Tak zresztą, jak w innych profesjach.

— Zróznicowany repertuar, praca z różnymi reżyserami, możliwość sprawdzenia się w różnych dziedzinach jak film, teatr, telewizja — co wydaje się Pani najważniejsze w rozwoju aktora?

— Każdy element jest ważny i potrzebny, ale zależy od indywidualnych predyspozycji aktora. Wydaje mi się, że w młodości należy zmieniać teatry i pracować z różnymi reżyserami. I dużo grać. Trzeba być tam, gdzie te możliwości otwierają się dla nas.

— Ale łatwiej zapewne pracuje się w zgranym zespole?

— Każdy teatr ma swoją odrębną atmosferę i każdy z nas wnosi w nią coś własnego. Wytwarzają się wówczas swoiste więzi między aktorami; co niezmiernie pomaga w pracy. Ja bardzo źle się czuję i gorzej pracuję na obcym gruncie, brakuje mi tych znanych gestów, reakcji. Każde przedstawienie kosztuje bardzo dużo nerwów, energii, trémy, a łatwiej to wszystko znieść w znanym sobie kolektywie.

Rozmawiała:

A. ZWIERZCHOWSKA

Fot. CAF

